

Anarcho-Biblioteka
Teksty spod czarnej flagi



Fenomen gównu wartych prac

David Graeber

David Graeber
Fenomen gównu wartych prac

Skolektywizowano 06/07/2020

tłum. Michał Michalski *Tekst pierwotnie ukazał się w czasopiśmie STRIKE! (lato 2013). Z pełnymi wydaniem magazynu można się bezpłatnie zapoznać na jego stronie internetowej: <http://www.strikemag.org/>.*

pl.anarchistlibraries.net

W 1930 r. John Maynard Keynes przewidywał, że do końca wieku technologia rozwinie się na tyle, że w krajach takich jak Wielka Brytania czy Stany Zjednoczone nie będzie pracowało się więcej niż 15 godzin tygodniowo. Nie ma podstaw, aby uważać, że Keynes się mylił. Biorąc pod uwagę dostępne technologie, opisana sytuacja jest możliwa; nie ma jednak miejsca, wręcz przeciwnie – „usprawnienia” mają służyć temu, żebyśmy pracowali jeszcze dłużej. Aby to osiągnąć, powstająca w ten sposób praca do wykonania powinna być, i faktycznie jest, bez sensu. Ogromne rzesze ludzi, zarówno w Europie, jak i Ameryce Północnej, spędzają całe swoje pracownicze życie wykonując zadania, które, jak sami po cichu przyznają, nie muszą tak naprawdę być wykonane. Moralne i duchowe zniszczenia wywoływane przez taką pracę są większe, niż mogłoby się wydawać i, choć praktycznie nikt o tym głośno nie mówi, zostawiają bliznę na naszym zbiorowym jestestwie.

Dlaczego przewidziana przez Keynesa utopia – niecierpliwie wyczekiwana jeszcze w latach 60. – nie stała się rzeczywistością? Powszechnie przyjęta wersja jest taka, że nie wziął on pod uwagę ogromnego wzrostu siły konsumpcjonizmu. Mając możliwość wyboru pomiędzy mniejszą liczbą godzin pracy a większą liczbą przedmiotów i przyjemności, zgodnie wybraliśmy to drugie. To zgrabny moralitet, ale wystarczy chwila zastanowienia aby dojść do wniosku, że zawarty w nim obraz nie może być prawdziwy. Od lat 20. XX w. jesteśmy świadkami niewyczerpanej pomysłowości w tworzeniu nowych gałęzi gospodarki i przypisanych do nich etatów, lecz tylko nieliczne z nich mają cokolwiek wspólnego z produkcją czy dystrybucją sushi, iPhone’ów czy modnych butów.

Czym wobec tego są te nowe miejsca pracy? Niedawny raport porównujący zatrudnienie w USA pomiędzy 1910 a 2000 rokiem daje dość jasną odpowiedź na to pytanie (a zarazem na bliźniacze pytanie dotyczące Wielkiej Brytanii). Wraz z mijającym czasem liczba zatrudnionych w przemyśle, na roli, czy jako służba domowa, gwałtownie malała. W tym samym czasie liczba pracowników na stanowiskach *specjalistycznych, menedżerskich, biurowych, sprzedażowych i usługowych* wzrosła trzykrotnie, zwiększając swój udział z *jednej czwartej do trzech czwartych całkowitego zatrudnienia*. Innymi słowy, etaty produkcyjne, dokładnie tak jak przewidywano, zostały w dużym stopniu zastąpione pracą maszyn. Liczba tego rodzaju etatów nie stanowi już tak poważnego procentu w skali świata jak kiedyś, nawet jeśli uwzględnić eksploatowane ponad miarę masy w Indiach i Chinach.

Zamiast jednak dopuścić do tego, by czas pracy diametralnie się zmniejszył i uwolnił drzemiący w ludziach potencjał, umożliwiając im realizację

nie, dlaczego – mimo dostępnych możliwości technologicznych – wszyscy nie pracujemy po 3-4 godziny dziennie.

mechanikach, ale jest sprawą oczywistą, że gdyby oni wszyscy nagle rozplynęli się w powietrzu, skutki byłyby natychmiastowe i katastrofalne. Świat bez nauczycieli czy magazynierów miałby nie lada kłopoty i nawet bez pisarzy *science fiction* czy muzyków ska byłby zwyczajnie mniej wartościowym miejscem. Nie jest do końca jasne, jak bardzo ludzkość cierpiałaby w świecie, w którym przestaliby istnieć prezesi funduszy inwestycyjnych, lobbyści, spece od kreowania wizerunku, aktuariusze, telemarketerzy, komornicy czy radcy prawni (wielu podejrzewa, że stan rzecz znacząco by się wówczas poprawił). Mimo tego, nie licząc garstki wyjątków, jak lekarze – cieszący się dobrą opinią, a jednocześnie wysoko wynagradzani – wspomniana zasada ma się zaskakująco dobrze.

Jeszcze bardziej przewrotny wydaje się fakt, że w mniemaniu ogółu najwyraźniej wszystkim jest tak, jak być powinno. To jeden z sekretów sukcesu prawnicowego populizmu. Możecie to zobaczyć na własne oczy, kiedy tabloidy szczują społeczeństwo na pracowników metra za paraliż Londynu podczas negocjacji płacowych. Fakt, że pracownicy metra mogą sparaliżować miasto, pokazuje wyraźnie, jak bardzo ich praca jest ważna i potrzebna – i właśnie to tak bardzo denerwuje ludzi. Jeszcze wyraźniej widać to w USA, kiedy Republikanie osiągnęli znaczący sukces w upowszechnianiu niechęci wobec nauczycieli i pracowników fabryk motoryzacyjnych (zamiast, co znamienne, administracji oświatowej czy menedżerów przemysłu samochodowego, winnych problemom), jako posiadających rzekomo rozdęte przywileje i płace. To tak, jakby mówiono im: *Ale wy uczycie dzieci! Albo robicie auta! Macie PRAW-DZIWA pracę! I macie jeszcze czelność oczekiwać emerytur czy opieki zdrowotnej na poziomie klasy średniej?!*

Jeśli ktoś będzie planował podział pracy idealnie podtrzymujący władzę kapitału finansowego, ciężko mu będzie wymyślić coś jeszcze lepszego. Prawdziwi pracownicy, którzy wytwarzają realne produkty i usługi, są bezlitośnie eksploatowani i uciskani. Reszta natomiast jest podzielona pomiędzy sterroryzowaną warstwę powszechnie wykpiwanych bezrobotnych oraz większą od niej grupę, która zasadniczo otrzymuje wynagrodzenie za nierobienie niczego – na stanowiskach zaprojektowanych w taki sposób, by zajmujące je osoby identyfikowały się z punktem widzenia i wartościami klasy rządzącej (menedżerów, administracji etc.), a zwłaszcza jej emanacji z sektora finansowego, jednocześnie czule pielęgnując niechęć wobec każdego, z którego pracy płyną jasne i niezaprzeczone korzyści dla społeczeństwa. Oczywiście jest, że system nie został nigdy świadomie zaprojektowany, lecz ukształtował się w ciągu wieku licznych prób i błędów. I to jest jedyne wytłumacze-

własnych projektów, przyjemności, pomysłów i wizji, byliśmy świadkami rozdymania się nie tyle nawet sektora usług, co sektora administracyjnego, włącznie z powstawaniem coraz to nowych dziedzin gospodarki, jak usługi finansowe czy telemarketing, oraz bezprecedensową ekspansją branż takich jak prawo korporacyjne, zarządzanie edukacją, ochroną zdrowia oraz zasobami ludzkimi, *public relations*. Wspomniane wcześniej liczby nie uwzględniają wszystkich ludzi, których praca polega na zapewnieniu bezpieczeństwa, pomocy administracyjnej bądź technicznej dla wymienionych gałęzi gospodarki, tak samo jak całej masy zawodów pomocniczych (psi fryzjerzy, całonocni dostawcy pizzy), które istnieją tylko dlatego, że wszyscy inni są tak bardzo zajęci jakąś inną pracą.

To są właśnie zawody, które proponuję nazywać *gówno wartymi*.

Tak jakby ktoś wymyślał bezsensowne zadania tylko po to, aby każdy z nas miał się czym zająć. I właśnie tu pojawia się zagadka: oto ma miejsce dokładnie taka sytuacja, jaka w kapitalizmie nie powinna się wydarzyć. W niewydolnych krajach realnego socjalizmu, gdzie zatrudnienie traktowane było zarówno jako prawo, jak i święty obowiązek, system tworzył tak wiele etatów, jak tylko musiał (to dlatego w ZSRR potrzeba było trzech sprzedawców, aby sprzedać kawałek mięsa). Jest to jednak ten rodzaj problemu, który konkurencja rynkowa powinna była rozwiązać. Zgodnie z teorią ekonomii, ostatnią rzeczą, jaką nastawione na zysk przedsiębiorstwo będzie robić, jest wydawanie pieniędzy na pracowników, których tak naprawdę nie potrzebuje. A jednak, w jakiś dziwny sposób, dzieje się tak cały czas.

Gdy korporacje uruchamiają coraz to nowsze programy bezwzględnych i masowych zwolnień, dotykają one zawsze grupy, które faktycznie odpowiedzialne są za wytwarzanie, przemieszczanie, naprawianie czy choćby podtrzymywanie rzeczy w ruchu. Wskutek tajemniczej alchemii, której nikt nie potrafi przekonująco wytłumaczyć, w tym samym czasie rośnie liczba ludzi opłacanych jedynie za przekładanie papierów; coraz więcej tego typu zatrudnionych, podobnie jak w Związku Radzieckim, formalnie pracuje 40 czy nawet 50 godzin tygodniowo, jednak efektywny czas ich pracy równa się co najwyżej 15 godzinom, dokładnie tak, jak przepowiedział to Keynes. Resztę ich czasu pochłania natomiast ucieszczanie bądź organizowanie seminariów motywacyjnych, aktualizacja profili na Facebooku czy ściąganie seriali.

Źródła problemu nie leżą w sferze ekonomii, lecz polityki i moralności. Klasa rządząca zorientowała się, że ludzie szczęśliwi, produktywni i mający masę wolnego czasu są dla niej śmiertelnym zagrożeniem (przypomnijcie sobie tylko, do czego doprowadziło zbliżenie się do takiego stanu rzeczy w

latach 60. ubiegłego wieku). Z drugiej strony, poczucie, że praca jest wartością moralną samą w sobie i że każdy, kto nie chce przez większość czasu być podporządkowanym jakiemuś rodzajowi związanego z nią rygoru, nie zasługuje na cokolwiek – jest wyjątkowo dla owej klasy wygodne.

Gdy zastanawiałem się nad wyraźnie niekończącym się wzrostem liczby obowiązków administracyjnych w brytyjskiej edukacji wyższej, dotarło do mnie, że to może być jedna z urzeczywistnionych wersji piekła. Piekło jako zbiór jednostek, które spędzają większą część swojego czasu w pracy, na zadaniach, które ani lubią, ani są w nich dobre. Powiedzmy, że zostały zatrudnione, bo były świetnymi stolarzami, a po jakimś czasie odkryły, że oczekuje się od nich, aby przez większość czasu smażyły ryby. W dodatku zadanie, którym się zajmują, tak naprawdę nie musi być wykonywane – ostatecznie dość ograniczona liczba ryb musi zostać usmażona. Mimo to, wszyscy ci stolarze zostają tak mocno opętani przez podejrzenie, że niektórzy ich koledzy mogą spędzać trochę więcej czasu na stolarce, zamiast sumiennie obsmażać swój przydział, że zanim ktokolwiek się obejrzy, mamy warsztat wypełniony po brzegi źle przyrządzonymi rybami, ponieważ smażenie ryb to jedyne, czym wszyscy faktycznie się zajmują.

Sądzę, że to całkiem trafny opis dynamiki wartości moralnych w ramach współczesnej gospodarki.

* * *

Zdaję sobie jednocześnie sprawę, że podobne opinie szybko napotkają obiekty w rodzaju: *A kim Ty niby jesteś, by mówić, które zawody czy miejsca pracy są naprawdę potrzebne? Co to w ogóle jest „potrzeba”?* Jesteś profesorem antropologii kultury, to ma być potrzebny zawód? I z pewnością wielu czytelników tabloidów uzna etat, który zajmuję, za klasyczny przykład marnowania publicznych pieniędzy. I na pewnym poziomie będą to jak najbardziej trafne spostrzeżenia. Nie istnieje coś takiego, jak obiektywna miara społecznej przydatności.

Nigdy nie ośmieliłbym się powiedzieć komuś przekonanemu, że to, co robi, wnosi do świata istotną wartość, że tak naprawdę wcale tak nie jest. Ale co z ludźmi, którzy sami przekonani są o tym, że ich praca jest pozbawiona jakiegokolwiek znaczenia? Nie tak dawno temu rozmawiałem z przyjacielem z czasów szkolnych, którego nie widziałem, odkąd skończyliśmy 12 lat. Byłem zdumiony dowiedziawszy się, że w międzyczasie został on wprawdzie poetą, a potem frontmanem rockowej kapeli. Słyszałem nawet kilkakrotnie jego piosenki w radio, nie mając świadomości, że śpiewa je ktoś, kogo znam. Facet był świetny, a do tego pomysłowy i oryginalny. Jego twórczość niewątpli-

wie wzbogacała i inspirowała wiele ludzkich istnień na całym świecie. Jednak po kilku gorzej sprzedających się albumach kontrakt został zerwany, a on sam, obciążony zobowiązaniami finansowymi i małym dzieckiem, dokonał jak sam to ujął, wyboru niemal domyślnego dla ludzi żyjących bez celu: zaczął studiować prawo. Dziś jest prawnikiem w jednej z czołowych nowojorskich firm i nie miał najmniejszych oporów, by oświadczyć mi, że uważa swoją pracę za kompletnie bez znaczenia, nie wnosząc absolutnie niczego oraz że jego zawód tak naprawdę w ogóle nie powinien istnieć.

Jest wiele pytań, które można zadać w takiej sytuacji, zaczynając od tego, co mówi o naszym społeczeństwie fakt, że generuje ono wybitnie niskie zapotrzebowanie na utalentowanych poetów i muzyków, ale za to nieskończone na prawników korporacyjnych? (Odpowiedź: gdy 1% populacji rozporządza większością bogactwa, to co nazywamy „rynkiem” odzwierciedla to, co ów 1%, i nikt inny, uzna za potrzebne czy ważne.) Co więcej, pokazuje nam to, że większość ludzi wykonujących podobne prace jest świadoma ich bezsensowności. To by się zgadzało: nie jestem pewien, czy kiedykolwiek poznałem prawnika korporacyjnego, który nie uważałby swojej pracy za idiotyzm. To samo odnosi się praktycznie do wszystkich wspominanych wcześniej gałęzi gospodarki. Mamy całą klasę opłacanych specjalistów, którzy, jeśli spotkasz ich na przyjęciu i zwierzysz się z wykonywania jakiegoś zawodu, który może uchodzić za interesujący (jak antropolog kultury, dajmy na to) – nie będą chcieli powiedzieć nawet słowa o własnej pracy. Daj im trochę wypić, a dodatkowo zaczęną wygłaszać tyrady na temat tego, jak głupi i bez sensu jest w istocie ich zawód.

Mamy tutaj do czynienia z przemocą psychologiczną o głębokich skutkach. Jak człowiek może w ogóle zacząć rozpatrywać kwestię swojej godności jako pracownika, skoro sam wie, że jego posada w ogóle nie powinna istnieć? Jak może nie stworzyć w sobie potężnego ładunku gniewu i rozgoryczenia? Swoisty geniusz naszego społeczeństwa polega między innymi na tym, że jego władcy zorientowali się, że owe negatywne emocje należy odpowiednio ukierunkować. Tak, jak miało to miejsce w przypadku smażących ryby stolarzy, najlepiej wycelować go w ludzi, którzy usiłują wykonywać faktycznie coś znaczącą pracę. Na przykład: panuje generalna zasada, że im bardziej, obiektywnie patrząc, jakaś praca jest pożyteczna dla ogółu, tym mniej należy za nią płacić. Obiektywna miara jest raczej trudna do określenia, lecz dość prostym sposobem na ustalenie, czy dana profesja jest pożyteczna, jest zadanie sobie pytania: co by się stało, gdyby wszyscy ludzie wykonujący dany zawód po prostu zniknęli? Mówcie co chcecie o pielęgniarkach, śmieciarzach czy